

ABY NIE PŁONĘŁY
WSIE

ALARM TRWA!

EDMUND PIEKARZ

Tego dnia przed południem w Makowie Podhalańskim nie zastaliśmy w domu żadnego z miejscowych strażaków. W miasteczku wiadomo, że nigdzie nie wyjechali. Każdy z nich gdzieś pracuje. Nikt jednak nie potrafił ich odszukać. Prezes Zarządu Powiatowego OSP Bronisław Szumański zarządził więc próbny alarm.

Przyjdą, nie przyjdą? Ilu ich będzie? Jak długo będą się zbierać? Miałem wiele wątpliwości, ale prezes Szumański był pewien swoich.

Jeszcze nie ustał sygnał alarmowy, a obok remizy zjawił się na motorze Jan Widuch. Po minucie czy ich już kilku. Zręcznie otwierali drzwi garażu, zapalali silniki bojowych samochodów. Jan Kaczmarski, Tadeusz Zajda, Józef Mikiel, Bolesław Kudas, Władysław Polak, Adam Goryl i inni byli gotowi do niesienia pomocy. Po niespełna 3 minutach 4 bojowe wozy, z 4 drużynami, liczącymi łącznie ponad 20 osób, czekały na dalsze rozkazy.

Tym razem alarm został szybko odwołany. Wrócił do swych warsztatów. Ale kilka dni wcześniej, kiedy w oddalonej o 10 km Grzechyni wybuchł pożar, po 3 minutach wyruszyli do akcji, a po 15 minutach gasili już ogień. Mimo że najbliższe drewniane zabudowania stały w odległości zaledwie 3 metrów od pożaru — szybko uporał się z niebezpieczeństwem.

Zaczynali od siebie

Przed kilku laty powiat suski należał do rejonów, w których „czerwony kur” nierzadko dawał znać o sobie. Drewniane zabudowania, strzechy аж gontem kryte dachy stwarzały niebezpieczeństwo pożarów. Paliło się tu

częściej, niż gdzie indziej. Ale, na szczęście, okres ten należy do przeszłości.

Przystępując do walki z ogniem suscy strażacy zaczęli od siebie. Rzucili hasło „Zagroda strażacka wzorem bezpieczeństwa przedpożarowego”, a następnie przystąpili do jego realizacji. Najpierw w swoich obiekciech zadbał o to, aby wszystko było w jak najlepszym porządku, potem wyszli na wieś, sprawdzili kominy i strychy, przewody elektryczne i urządzenia spalinyowe. Nie darowali nikomu żadnego zaniedbania. Pierwszy raz notowali usterki i wydawali zalecenia. A po pewnym czasie sprawdzili, czy wszystko zostało wykonane.

Ta profilaktyczna akcja nie wszędzie przebiegała łatwo. Tu i ówdzie trzeba było opornych wezwać przed oblicze gromadzkiego kolegium orzekającego.

Równolegle z działalnością zapobiegawczą prowadzą intensywnie szkolenie. Nie tylko musi być jego tematem, ale sprawność bojowa ludzi i sprzętu, umiejętność postępowania się nim.

Strażak nie tylko przy pożarze

Droga do obecnych wyników była trudna. Zaczęło od organizowania drużyn strażackich w rozległym terenie. Powstawały one nie tylko we wsiach, ale i w przysiółkach. Dziś tylko jeden przysiółek w Tarnawie Górnej, liczący kilkanaście gospodarstw, nie posiada własnej OSP. W licznych wsiach działają po dwie i trzy drużyny ochotniczych, a w rozrzuconej wśród gór Zawoi nawet 4.

Z kolei zwrócono baczniejszą uwagę na wyposażenie. Ręczne sikawki i konne wozy szybko zamieniono na nowoczesny sprzęt mo-

torowy. Środki na ten cel zdobywano różnymi sposobami. Najczęściej były to akcje społeczne, dochodowe. Wieloletni trud przyniósł efekty. Dziś w kilkudziesięciu remizach stoją specjalne wozy bojowe albo ciężarówki — przerobione na strażackie pojazdy. Zawsze sprawne, jednakowo służą tej samej sprawie: każdemu z nich można szybko dotrzeć na miejsce pożaru. Jeszcze tylko 8 OSP w pow. suskim wyjeżdża do akcji konno. Ale i te strażaki mają na swoim koncie wiele sukcesów. Najlepsze we wsi konie zawsze są pod ręką, gotowe do wyjazdu.

Aktywność strażaków w tych wsiach nie ustaje w staraniach o zmechanizowany sprzęt. Przy pomocy Zarządu Wojewódzkiego OSP zapewnił i te ostatnie wozy zamienione zostają wkrótce na samochody.

Zmechanizowane urządzenia zachęciły młodych do wstępowania w szeregi strażackie. Dziś wśród około 2-tysięcznej rzeszy ludzi w granatowych mundurach prawie jedną czwartą stanowią dwoadzielnicy i chłopcy w wieku od 14 do 18 lat. Młodzieżowe drużyny działają przy większości szkół i w licznych miejscowościach. Intensywnie szkolone przez ofiarny aktywność strażaków zawsze stają na alarm w pełnym rynsztunku, gotowe do niesienia pomocy w każdej chwili.

Nie tylko ratują...

Troska o sąsiedztwo młodzi, o bezpieczeństwo pożarowe wsi czy miasteczka jest naczelną dewizą wszystkich strażaków. Ale równocześnie OSP poświęcają wiele uwagi sprawom budownictwa. Coraz częściej występują w powołaniu remizy, która pełni rolę nie tylko strażackich garaży, ale i ośrodków kultury.

Najlepszym tego przykładem jest Maków, gdzie strażacy wzniesli piękny dom kultury posiadający salę widowiskową z 500 miejscami i szeregiem mniejszych pomieszczeń, w których znajdują się różne kulturalne placówki.

Ludzie z toporkiem w kłapie budowali własny dom w Suchej, w którym znajduje się obecnie największa sala widowiskowa.

Dzięki wysiłkowi strażaków z Baczyna stanął we wsi wielki obiekt mieszczący obok garaży świetlicę, a po zakończeniu budowy znajduje się w nim również klub rolnika i inne miejscowe placówki.

Podobnych przykładów aż nadto w Suskim. W ostatnich latach stanęło tu prawie 20 remiz — ośrodków kultury. Korzystają z nich mieszkańcy Jordanowa i Białki, Naprawy i Budowa, Osiecia i Toporzyska oraz wielu innych miejscowości. Nie są to tylko obiekty na pokaz, w nich tętni życie kulturalne, w nich łatwiej utrzymać sprzęt strażacki w pełnej gotowości bojowej, znaleźć miejsce na szkolenie dla siebie i na rozwój dla pozostałych mieszkańców wsi.

Te „strażackie” relacje wypadają zakończyć strażackim akcentem: alarm trwa. Zobowiązuje każdego z nas do rygorystycznego przestrzegania przepisów przeciwpożarowych. Aby nie szalał „czerwony kur”, aby jak najprędzej rozlegał się budzący trwogę okrzyk: „gore” i sygnał strażackiego alarmu...

Człowiek przybywa w naszych domach wiele zmechanizowanego sprzętu. Utrzymanie go w dobrym stanie wymaga zarówno podstawowej wiedzy, jak i zainteresowania sprawami technicznymi. Takie techniczne hobby jest w życiu codziennym niezwykle pożyteczne. Chroni rodzinny budżet przed dodatkowymi wydatkami, pozwala oszczędzać czas przeznaczony na wizyty w punktach usługowych i przynosi osobistą satysfakcję. Zamiłowanie do majsterkowania można rozbudzić i odpowiednio nim pokierować, wdrażając do współdziałania z współczesną techniką. Zaś uodolnienie techniczne trzeba czasem odkryć i umiejętnie wykorzystać. Rzec w tym, by

EDUKACJE ROZPOCZĄĆ JAK NAJCZĘŚCIEJ

Do niedawna szkoły podstawowe i średnie (zwłaszcza ogólnokształcące) nie nauczały szeroko pojętej politechnizacji. Ostatnio uwzględnia się ją przy układaniu programów szkolnych. Również w ub. roku młodzież szkolna i studencka po raz pierwszy uczestniczyła w Turnieju Młodych Mistrzów Techniki. Niektórzy z debiutantów odnieśli sukces na wojewódzkich eliminacjach. Kilka nacięć spośród zgłoszonych projektów oceniono bardzo wysoko, twierdząc że nie powstydziłby się ich niejeden technik czy inżynier.

TMMT posiada zaledwie 5-letnią tradycję, lecz organizatorzy turnieju mają już spore doświadczenie i osiągnięcia w rozwijaniu ruchu racjonalizatorskiego wśród młodych. Stawiają sobie oni za zadanie przyciąganie do turnieju ludzi młodych z uzdolnieniami technicznymi i inicjatywa. Jest ich w naszym regionie coraz więcej. W ub. roku 1589 osób ze 114 zakładów pracy, zgłosiło 1720 projektów wynalazców. W porównaniu z rokiem 1969, liczba uczestników TMMT wzrosła o 30 proc., a ilość projektów o 25 proc. Zastosowanie ich przyniesie krakowskiemu przemysłowi efekty ekonomiczne wartości ponad 28 mln zł.

Obecnie ZMS, organizacja związkowa, koła NOT-owskie, czynią starania, aby wynalazczość zainteresowała następne przedsiębiorstwa i instytucje. W br. planuje się dotarcie do około 200 zakładów.

Pomyślny rezultat ambitnych zamierzeń w głównej mierze

ZALEŻY OD KLIMATU W ZAKŁADZIE PRACY

Największy udział wśród nagrodzonych i wyróżnionych mają dotychczas racjonalizatorzy: Krakowskich Zakładów Farmaceutycznych „Polfa”, Krakowskiej Fabryki Kabli, Zakładów Azotowych w Tarnowie i — ostatnio — Krakowskich Zakładów Przemysłu Gumowego. Ruch wynalazczy wśród młodych ma tutaj mocne podstawy, jak to się mówi, zapuścił korzenie.

Nie mogę się oprzeć porównaniom. W Hucie im. Lenina pracuje tysiące młodych i niewątpliwie zdolnych ludzi, tymczasem w turnieju nie odegrali większej roli.

HENRYKA ROSIEK

li. Natomiast trzecią nagrodę za debiut wynalazczy zdobył Waldemar Skalski ze Spółdzielni Pracy „Półkój” w Tarnowie. Rzec jednak nie w porównaniach, podnoszących rangę jednych, pomniejszających osiągnięcia innych przedsiębiorstw. Nadrzednym zadaniem jest potrzeba rozbudzenia, upowszechnienia racjonalizatorstwa w zakładach pracy. Choć to do zdolnych uczniów, studentów, młodzieży pracującej, wśród której nie brak potencjalnych wynalazców i racjonalizatorów.

REZERWY SĄ JESZCZE OGROMNE

Około 40 proc. zatrudnionych w przemyśle to ludzie młodzi, którzy nie przekroczyli trzydziestego roku życia. Dlatego tak ważne jest zachęcanie do wysiłku, popularyzowanie prawa wynalazczości o podpowiadanie tematyki, wymagającej doskonałych rozwiązań technologicznych, konstrukcyjnych.

Najważniejsze zadanie do spełnienia ma tutaj administracja. Wiele zależy od kierownika wydziału, szefa produkcji i sprawnego działania zakładowych komórek wynalazczości. Idzie o terminowe rozpatrywanie projektów i szybkie wprowadzanie ich w życie. Niekiedy przecież niemyślnie są najemniejsze myśli, najszybsze chęci. Na tym też wśród młodych pracowników rodzi się wiele rozterek. Swoim dążeniem do wprowadzania zmian i udoskonalenia wywołują ferment w spokojnym życiu przedsiębiorstwa. Nie zawsze więc są mile widziani.

Komisja Wynalazczości i Racjonalizacji przy WKZZ i OW NOT zna wypadki przetrzymywania projektów, wydłużania ich wędrowki od pomysłu do realizacji. — Czasami — jak mówił na spotkaniu przedstawicieli Klubów Techniki i Racjonalizacji, sekretarz KW Józef Łoś — towarzyszy racjonalizatorom zwykła zazdrość ludzka. — Aby więc na racjonalizatorskiej drodze być coraz mniej kolców, Komisja reagując na zażalenia młodych wynalazców, powinna podjąć szerszą działalność kontrolną i systematycznie analizować w zakładach losy zgłoszonych projektów.

Ogromną rolę mają także do spełnienia organizacje społeczne w zakładzie. Młodzież oczekuje większej pomocy od kół NOT-owskich i organizacji związkowych. Nie do wszystkich młodych dotarły przecież hasła TMMT, podobające do rywalizacji na polu wynalazczości.

Dobrym i godnym poparciem krokiem w tym kierunku są przedsięwzięcia Klubu Młodych Mistrzów Techniki przy WKZZ, OW NOT, i ZW ZMS. We wrześniu br. ocenił na realizację projektów, wyróżnionych na eliminacjach wojewódzkich od 1967 r. Mówiąc o eliminacjach TMMT, należy zwrócić uwagę na potrzebę większego uporządkowania kryteriów oceny efektów ekonomicznych projektów. Niektórzy z uczestników turnieju, proponując wyodrębnienie inżynierów, pracowników instytutów, biur projektów od techników i robotników...

Nie można szczędzić sił dla rozwiązania tych i wielu innych problemów. Twórczy myśli technicznej towarzyszą przecież poważne efekty ekonomiczne, cenniejsze niż „spokój” przedsiębiorstwa.

TELEWIZJA

POEZJA

i hydro-zagadki

Nieodwołalnym odkryciem możliwości telewizyjnych stał się program Zofii Kucówny, poświęcony zmarłej przed 4 laty poetce krakowskiej, Halinie Poświatowskiej. Jakże to nowe możliwości zaprezentowała Kucówna? Przecież od dawna wiadomo, że jest wybitną aktorką, której warsztat artystyczny sprawdził się na wielu odciśnięciach scenicznego i estradowego działania na TV — od widowisk dramatycznych po kabaretowe.

Ale nigdy dotąd nie znaleźmy Kucówny jako... reporterkę. A więc nie w roli dziennikarza, lecz — rzeczywistego twórcy reportażu telewizyjnego. I to, należy dodać, reportażu z prawdziwego zdarzenia, poetyckiego zarazem i pełnego ładunku myśli na odwieczny temat życia i śmierci w ogóle, a świetnie skomponowanego na tle życia i śmierci jednego człowieka: młodej zmarłej pisarki. Reportaż, jaki zaprezentowała Kucówna, w sposób niesamowicie rytmiczny, szczepił po szczególe, splatając dziennikarski i artystyczny, znaczący piętnem umierania, które odbiło się w jej utworach jak w tragicznym lustrze, opowiadał historię jej kruchej w teśnoscach i zawodach — niby dotkniętej nieuleczalnym schorzeniem serce — życia pomiędzy światem zdrowia i choroby.

Kucówna zebrała materiały do swojej opowieści o ludzi, którzy zginęli z Poświatowską — jak m. in. Stanisław Dygat podczas pobytu w USA, gdzie poetka przeszła pierwszą operację serca, czy matka, siostra, lekarz oraz przyjaciółka autorki „Hymnu bałuchowalczemu” i „Opowieści dla przyjaciół”.

Reporter Kucówna znalazła nade wszystko ciekawą kanwę dla swojego reportażu: umiejętnie rozkładając akcenty biografii Poświatowskiej na tok narracji poetyckiej, gdzie aktorka-Kucówna znakomicie interpretowała wiersze bohaterki programu, a melorecytorka i piosenkarka — Kucówna stworzyła subtelny, muzyczny klimat audycji.

Na koniec warto zaznaczyć, że — jeśli scenarzysta (reporter) ma dobry, właściwy pomysł tego, co chce przekazać odbiorcom, a potrafi wykorzystać do realizacji swego zamierzenia znakomitego fachowca, który umie pomyśleć przełożyć na język i w ułożeniu wiersza, to jest to wielkie osiągnięcie. A tu Kucówna natrafiła na realizatora tak wytrawnego, jak A. Hanuszkiewicz, i muzyka tak umiejętnie wywołując odpowiedni nastrój, jak A. Kurylowicz. W sumie otrzymaliśmy reportaż zaskakujący świeżością, trzymający w napięciu, piękny, ładny, bez porzy i patosu. Jedną z tego rodzaju relacji artystycznych, jakie w publicystyce uzyskuje Maciej Szumański. Reportaż jest również ładnym ZPFT w Krakowie, mimo że nadano go z... Łodzi.

Co rzekłszy, nie chcę się już wyrażać na wydumany i pretensjonalny film-komedie „Hydrozagadki”. Nie wiadomo w jakim celu nakręcono z całą czelnością aktorów komediowych, którzy tak samo nie rozumieją tej pseudosatyry (na co?), jak i widzowie. Nie chcę też pisać na włożoną o pomysł (dokładny) technicznie sprawną transmisję lekkoantyczną z Bratysławy i jeszcze bardziej sprawniejsze planse-przerzynki (już naste) — napisami „Kolej, dajmy, to zdrowy drob” — która to planse jest równa w ostatecznym wymowie treściom „Hydrozagadki”. Tylko kto — zamiast uwać też Hydro — będzie z upodobaniem potwórki na łące telewizyjnej?

BOB

O NIEDOSZŁYCH BOHATERACH POZYTYWNEGO REPORTAŻU

WŁADYSŁAW BIEROŃ

główny Weterynaryjny stwierdziła mykoplazmę. W tej sytuacji pozostałe przy życiu kurczątka poszły do rzeźni.

Parodniowi właściciele kurzej fermy jeszcze się nie zalamali. Świadczy o tym choćby ich list z 8 stycznia br., w którym proszą Zakłady Jajczarsko-Drobiarskie o wskazanie kolejnego dostawcy materiału hodowlanego i o wyrównanie strat poniesionych przy poprzedniej transakcji. Strata — dodajmy — niebagatelnych: 25 tys. zł samej różnicy między kosztami zakupu kurcząt, a ceną sprzedaży. Ale teraz Zakłady Jajczarsko-Drobiarskie nabrały wody w usta i dopiero po miesiącu nadesłany list, w którym prze-

czytać można m. in.: „kurki hodowlane, które wedle twierdzenia Obywatela, były chore w chwili kupna, zostały nabyte przez Obywatela od ob. Janiny Bębenek. Zakłady tu nie były uczestnikiem tej umowy kupna — sprzedaży i dlatego roszczenie Obywatela o odszkodowanie nie może być w ogóle rozpatrywane przez nas”.

Wprawdzie pod umową kupna — sprzedaży kurek nie figurował podpis przedstawiciela Zakładów Jajczarsko-Drobiarskich, niemniej jednak Zakłady uczestniczyły w tej transakcji i to bardzo aktywnie.

Kupno piskląt i dostarczeniem owego fatalnego zaświadczenia weterynaryjnego, aby wywiązać się z tego zobowiązania. Inny paragraf zapewnia hodowcy prawo do bezpłatnej opieki weterynaryjnej w zakresie badań na białą biegunkę piskląt, salmonelozę oraz mykoplazmę. A tymczasem punkt weterynaryjny w Mińskich pobrał od Plaszczyńskiego 286 zł za poradę weterynaryjną.

Chętnie poznalibyśmy również stanowisko wojewódzkiego lekarza weterynaryjnego wobec diagnozy lekarza Powiatowego Zakładu Weterynaryjnego. Czy był to błąd w sztuce? Bo podobno mykoplazma wyłga się przez 24 dni i jest widoczna „gołym okiem”.

Weterynaryjny Plaszczyński. Komuś może nasuwać się podejrzenie, że Zakładom bardzo zależało na tym, aby Bębenkowie sprzedali kurcząt, niż na tym, aby ferma Plaszczyńskiego zaczęła pracować.

Wróćmy jeszcze do umowy. Jeden z paragrafów mówi: „Odbiorca” zobowiązuje się udzielić „Dostawcy” bezpłatnej opieki fachowej w zakresie organizacji i prowadzenia fermy”. Należałoby zapytać, co Zakłady Jajczarsko-Drobiarskie zrobiły (poza wskazaniem źródła za-

skąd pismo do Plaszczyńskiego, w którym odrzucają jego roszczenia o odszkodowanie, kończą następująco: „Mamy nadzieję, że nie zraził się Obywatel pierwszemu niepowodzeniu przy starcie działalności hodowlanej, lecz podejmie dalsze wysiłki dla uzyskania zamierzonych celów w tej dziedzinie”. Obywatel nie zraził, popadł natomiast w ciężkie tarapaty finansowe. 25 tys. zł stracił na samych kurczętach. Zganił mu trochę nie wykorzystanie paszy (której przyjął ZJD również odmówił), wyłożył sporo grosza na adaptację pomieszczeń dla kurcząt, na zakup leków, którymi próbował je ratować przed pomorem. Zbliżają się terminy płatności zaciągniętych kredytów, prywatni wierzyciele, gdy tylko dowiedzieli się, że kurzy interes splotował — jeden po drugim zaczęli upominać się o zwrot pożyczek Plaszczyński musiał natychmiast podjąć pracę w mieście, aby zarobione pieniądze przeznaczyć na spłatę długów. Aktualnie nie stać ich nie tylko na zakup nowych kurcząt, lecz nawet na wszelkie procesy przeciwko dostawcy poprzedniej partii piskląt, które nabyli i u kurtyni wadami (co sugerują im ZJD).

A reszta cywilny proces o odszkodowanie to jedna sprawa, natomiast moralna i społeczna odpowiedzialność Zakładów Jajczarsko-Drobiarskich to osobny problem. Hodołwa, w tym także hodowla drobiu — to jeden z ważniejszych kierunków rozwoju rolnictwa. Mam nadzieję, że przedstawiona historia jest odosobniona, że Zakłady Jajczarsko-Drobiarskie nie zawszę w taki właśnie sposób „pomagają” w rozwoju hodo-



WODOLOTEM przez Rożnów

Jest ich tylko trzy w Polsce. Prezentują się wspaniale. Przy łodziach, a motorówkach wyglądają jak krząkuchni szos przy „syrenkach”. Od kilku dni jeden z wodolotów zakupionych w Związku Radzieckim pływa, czy też używając bardziej precyzyjnego określenia — lata — na Jeziorze Rożnowskim.

Z KOSMICZNĄ PRĘDKOŚCIĄ

Wraz z porucznikiem Franciszkiem Wątem z Komendy Wojewódzkiej MO jedziemy w jeden z pierwszych rejsów. Przy sterach komendant posterunku st. sierżant Andrzej Zagata — doświadczony wodniak, żywa kronika tych wód. Opowiada jak przed sześciu laty nowo założony posterunek dysponował jedną, starą łodzią. Patrolowanie wód jeziora odbywało się najczęściej... z brzegu.

Dziś na przystani stoi kilka szybkich łodzi motorowych, a my ustawiamy do najszybszej jednostki na naszych słodkich wodach. Wodolot majestatycznie odbija od pomostu i natychmiast „dostaje przyspieszenia”. Prujemy przez jezioro, zostawiając daleko w tyle kręcące się tu studami łodzie, kajaki, żaglówki.

Ale to dopiero początek. Po kilkudziesięciu sekundach wodolot nabiera „drugiej prędkości”. Pędzi jak kosmiczna raketa. Już niemal cały wynurzył się z wody, leci tuż nad tafelą jeziora, niczym wspaniały ptak.

W nicale cztery minuty jesteśmy pod tamą w Rożnowie. Ostry skręt i po siedmiu minutach oglądamy Zbyszcze na drugim krańcu jeziora. Z takim sprężem można czuć się bezpiecznie w rozległych wodach, można w razie niespodziewanego wypadku przynieść natychmiastową pomoc, dotrzeć praktycznie w ciągu 3-4 minut do najbliższego punktu jeziora.

DYSCIPLINA I KONTROLA

Jezioro Rożnowskie jest z roku na rok coraz ładniejsze. Powstało nad jego brzegami wiele ośrodków wypoczynkowo-sportowych. Zakłady pracy, kluby żeglarskie, tysiące indywidualnych turystów ze wszystkich zakątków kraju ciągną nad piękne wody największego jeziora na ziemi krakowskiej. A wszyscy pędzą się do wody.

Przy takim tłoku na wodzie trzeba zachować maksimum ostrożności, bezwzględnie przestrzegać obowiązujących przepisów. Pracownicy wodnego posterunku MO mają więc pełną rękę roboty. Obok kontroli i czuwania nad bezpieczeństwem na jeziorze, prowadzą — społecznie — zajęcia profilaktyczne, odpowiadają kolonij i obozów, usytuowane nad brzegami i wygłaszają pogadanki, zapoznając uczestników z przepisami, pouczając jak się zachować w przypadku nieszcześliwego zdarzenia.

Akcie to odnosi skutek, czego najlepszym dowodem jest fakt, iż z sezonu na sezon polepsza się stan bezpieczeństwa. W tym roku nie zdarzyła się na jeziorze ani jedna tragedia. Wymagana dyscyplina, poszanowanie przepisów, profilaktyka i codzienna kontrola — robią swoje.

Podpływamy do wodnego roweru, na którym rozstada się wygodnie naska z symem. Na kolanach ciężko wystraszonego czarnego pudła. Starszy sierżant prosi o okazanie karty pływackiej.

Konsternacja. Chłopiec zostawił ją w domu kampingowym. Obiecuje sennie, że zaraz przyniesie ją do posterunku wodnego. Milięciami napomina, że bez koszyk ratunkowych nie wolno wypływać nawet i skraj jeziora. To jest ważniejsze od karty pływackiej. Bywały wypadki, że topili się posiadacze kart pływackich, w kamizelce ratunkowej — nigdy.

Nasz wodolot budzi powszechną sympatię. Machają do nas z łodzi i żaglówek, podziewają z brzegu. Gdy wystadamy, słysząc, jak w grupie ciekawskich, którzy przysili na przystanku objeżdżać fruującą łódź, ktoś głośno peroruje: — Człowiek czuje się bezpieczniejszy na wodzie, gdy widzi w pobliżu tak sprawną spręż. Nawet najsporniejszy ratownik niewiele może zdziałać, gdy nie dysponuje odpowiednio szybką jednostką. A przecież jezioro jest rozległe. Dobrze, że i my, doczekaliśmy się wodnego pojazdu, rozwijającego „kosmiczną” prędkość.

JACEK ZUKOWSKI

Stanisław Stanuch

PRZYBYSZ

studentek. Był zbyt zmęczony, aby przysiąść się dziewczętom. Rozłożył gazetę i przebiegał wzrokiem po nagłówek zatrzymując się dłużej dla przeczytania felietonu o jakiejś sensacji sądowej i kroniki miejskiej. Pomyślał z zalem, że nie obejrzy już filmu, na który wybierali się z żoną.

W autobusie ugruntuwała się już specyficzna atmosfera podróży. Zważywszy na to, że podający się za wpływową osobistość, uprzedził go, że w tym miejscu nie ma miejsca na rozmowę z studentkami. Wykrzykiwał:

— Dajcie mi tylko trzy dni czasu, a potrafię załatwić każdą posadę... Były to cześć przechwałki, ale trzeba mu oddać sprawiedliwość: był niesłychanie zręczny, sugestywny i wytrawny w operowaniu własną nieocieśnią. Między jednym a drugim dowcipem rozwijał długą listę przyjaciół, którzy wszystko dla niego zrobili. Padali przy tym nazwiska znane i nie budzące wątpliwości, co do zakresu władzy. W pewnym stopniu udało mu się osiągnąć cel: dziewczęta najeżone dotąd i zamknięte w sobie, ożywiły się i spoglądały z rozbowieniem w jego stronę. Zapewne nie tyle perspek-

tywa korzyści, w które przecież nikt nie wierzył, ile — jak zawsze u kobiet — dobrodusza naiwność czy głupota, oraz ciekawość wywołana uprzedzonymi atakami, sprawiły, że ciepły przyjmowały jego natarczywość i kabotyństwo. Pomyślał z rozbowieniem, że nim dojadą do Uzdrowiska, ich znajomość się zacieśni, a wspólnie wprawdy do wód, na spacer i dancsingi — dokonają reszty i prawdopodobnie któraś z tych gęsi zobaczy w nim wreszcie „turnusowy ideał”.

Poza tym w autobusie było nudno. Ten i ów ziewnął w przerwie między jedną a drugą drzemką; na przystankach wsiadali i wysiadali chłopcy jadący ze wsi do wsi, a krajozaby z oknem stawał się coraz bardziej gęsty. Wreszcie autobus pokonał półtęże wzniesienie i nagle w dole ukazały się najbliższe wzgórza otaczające kotłinę a bliżej wieś miasteczka. Mineli rozległe pola uprawne, potem przejeżdżali kolejowy, potem wylknij oznamiające bliskość rzeki i wjechali na szeroki, nowoczesny most zbudowany na miejscu tego, który wyleciał w powietrze wraz ze starożytnym zam-

(9)

kiem podczas odwrotu Niemców. Ruiny zamku są najbliższą granicą miasta. Za nim autobus wpada w zatłoczone ulice śródmieścia w okolicy rynku i kolebiąc się z boku na bok na zakrętach zatacza czerkole koło obok peronów nowego dworca autobusowego.

Teraz czas biegnął już szybciej. Za oknem pojawił się znajomy odcinek szosy biegnącej równolegle z krętym w tym miejscu korytem Popradu. Jeszcze chwila, a z lewej strony pojawią się ruiny ryterskiego zamku. Zabrał z półki plecak, strzelbę i kurtek. Powietrze doliny Popradu otworzyło go natychmiast. Minął przejazd kolejowy i asfaltową szosę biegnącą między domami, a potem osiągnął szeroką przestrzeń doliny Roztoki, zaczął iść połą drogą biegnącą środkiem przez łąki. Z przyjemnością stwierdził, że o ostatniego pobytu wiele się tutaj zmieniło: przez strumień spadający od szczytów zbudowano z surowych bierwion mostek i nie trzeba już było idąc forsować wpiaw strumienia. W okolicy kamieniołomu powstały poboza z rowami, aby woda spadająca z gór podczas opadów mogła płynąć bez przeszkód. W niektórych miejscach wysokie skarpy obsadzone zostały trawą i ozdobione łukami z kamienia łączącego cementem. Roboty te wykonano popieszczenie z myślą o zbliżającym się terminie odsłonięcia partyzanckiego pomnika, więc — jak zwykło u nas — bardziej przenikliwie oko dostrzeć mogło wiele niedbalstwa.

(Ciąg dalszy nastąpi)

